

ZBIGNIEW NIENACKI



PIERWSZA PRZYGODA

PANA SAMOCHODZIKA



# ROZDZIAŁ I

*Tajemnicza kartka • Zaginiony Albazin • Rozpoczynam poszukiwania • Ogłoszenie • Pieczęć warowni syberyjskiej • Dziwny leśnik • Skarb korsarza Kidda • Złoto Albazina • Amur • Pozwolenie na przywóz lwa*

Zbigniew Nienacki  
**Pierwsza przygoda Pana Samochodzika**

powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Katarzyna Kołodziej  
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I  
w Wydawnictwie Literatura  
Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-080-3

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

Przyczyną wszystkiego stała się mała, zadrukowana kartka, którą w kwietniu 1958 roku znalazłem na podłodze w swoim pokoju.

Rano sprzątaczką ze spółdzielni Czystość umyła mi podłogę i zażądała gazet do rozścielenia ich na wyszorowanym parkiecie. Gazet w domu nie miałem. Zadzwoiłem do redakcji i poprosiłem gońca, żeby przyniósł mi nieco makulatury. Wieczorem, gdy zasiadłem przy biurku do pracy, podłoga wyglądała jak nowoczesna malarska kompozycja z białych figur geometrycznych. Przeważały wielkie prostokąty „Timesów” i „Izwestii”, ale nie brakło także niewielkich płacht gazet prowincjonalnych, tu i ówdzie zaznaczających się smugą czerwonego tytułu.

Rzucił mi się w oczy malutki prostokącik – kartka wyrwana z książki. Leżała tuż obok biurka i ciągle miałem ją przed oczami. Raziła mnie jej obecność, od dziecka bowiem wpajano mi szacunek dla książki. Coraz trudniej było mi pracować. Pisałem właśnie artykuł o miłości do książek i ta samotna, zdeptana kartka wydawała mi się jakby żywym tworem zadającym kłam moim słowom. Dlatego wreszcie pochyliłem się, podniosłem ją z podłogi, zdmuchnąłem z niej kurz.

Zauważyłem, że wyrwano ją z rosyjskiej książki. Przeczytałem pierwsze zdanie:

*24 marta 1684 goda w Albazinie była połączona gramota ot kitajskiego impieratora z priedłożenijem o sdacze, napisana na mandżurskom, mongolskom i polskom jazykach.*

W tłumaczeniu brzmiało to następująco:

*24 marca 1684 roku w Albazinie otrzymano list od chińskiego cesarza z żądaniem poddania się, napisany w językach: mandżurskim, mongolskim i polskim.*

Po polsku?

Pospiesznie czytałem dalej. Ale następne zdania nie przynosiły wyjaśnienia. Zawierały tylko skromną wiadomość, że mieszkańcy Ałbazina poczuli się gotować do obrony. 4 czerwca 1685 roku nadciągnęły pod Ałbazin pierwsze oddziały wojsk chińskich. Potem lądem nadeszła ogromna armia: 10 000 konnych wojowników, 100 dział lekkich i 50 dział ciężkich. Rzeką przy płynęło 100 wielkich łodzi, a na każdej z nich znajdowało się 50 żołnierzy.

11 czerwca 1685 roku komendant wojsk chińskich jeszcze raz zaproponował obrońcom Ałbazina poddanie warowni...

I tu kończyła się stronica. A choć po wielekroć obracałem kartkę w rękę i czytałem od nowa – nie dowiedziałem się jednak nic więcej nad to, co zostało na niej wydrukowane.

Jakie były dalsze losy obrońców Ałbazina? Gdzie był ów Ałbazin i dlaczego władze chińskie pisały po polsku do jego obrońców? Malutka kartka nosząca porządkowe liczby „41” i „42” – milczała.

Nazajutrz pół dnia spędziłem w redakcji, przetrząsając zbraną w archiwum makulaturę. Tutaj, w stercie zakurzonych papie-

rzysk – jak twierdził goniec, który poprzedniego dnia przyniósł mi stare gazety – należało szukać dalszych potrzebnych mi kartek. Była to zresztą tylko próżna mitręga. Nie znalazłem ani jednej. I do dziś, choć od tamtej chwili minęło wiele czasu – odbyłem ogromną podróż i zaznałem dziesiątków przygód – do dziś nie wiem, z jakiej książki pochodziła malutka karteczka podniesiona z podłogi w moim pokoju.

Ale nie jest chyba najważniejsze, jakiego kształtu i koloru był kamyk, który spowodował lawinę.

Wysilałem pamięć, próbowałem zaglądać do poważnych dzieł historycznych. Nigdzie jednak nie natrafiłem na wiadomość, że w drugiej połowie XVII wieku Polska uczestniczyła w walce z Chinami lub że w wojnie z Chińczykami brali udział Polacy. Żadna ze znanych mi książek nie wymieniała także nazwy „Ałbazin”.

A przecież było napisane wyraźnie: *24 marca 1684 roku w Albazinie otrzymano list od chińskiego cesarza z żądaniem poddania się, napisany w językach: mandżurskim, mongolskim i polskim.*

A może ten wyraz – „polskim” – powstał z drukarskiego błędu? – zastanawiałem się, nie potrafiąc wyjaśnić zagadki.

Gdyby chociaż wiadomo było, gdzie leży ów Ałbazin!... Ale i w tym względzie kartka nie dawała najdrobniejszej wskazówki. Pod Ałbazin przybyło lądem 10 000 wojowników, rzeką zaś przypłynęło 100 wielkich łodzi. Ałbazin leżał więc nad jakąś rzeką. Niestety, nazwa rzeki pozostała dla mnie nieznaną.

Chiny, Mandżuria, Mongolia – sąsiadujące ze sobą kraje. Dziwnie i obco brzmi słowo „Ałbazin”. Czy nie znaczy to, że Ałbazina należy szukać aż gdzieś, hen, na Dalekim Wschodzie? Dlaczego jednak do ałbazińskiej warowni Chińczycy pisali nie tylko po mongolsku i mandżursku, lecz także po polsku?

Był to problem dla historyka, a nie dziennikarza pochłoniętego sprawami dnia współczesnego. Co prawda, miałem dość specyficzne

zainteresowania – w czasie przeznaczonych na wypoczynek tygodni letnich przyłączałem się do ekspedycji archeologicznych. To było także tropienie śladów zamierchłej przeszłości i rozwiązywanie zagadek. Robiłem to jednak zawsze pod kierunkiem naukowców-specjalistów. Teraz – wobec dziwnej sprawy Ałbazina – pozostawałem samotny. Historycy, do których zwracałem się o pomoc, wzruszali ramionami lub proponowali mi zajęcie się problemami, jakie ich samych trapiły. Radzono mi, abym spróbował napisać o tajemnicach zakonu templariuszy, o zagadkowej działalności Związku Jaszczurczego i o wielu innych bardzo frapujących tematach. Lecz mnie trapiła zagadka Ałbazina, choć – począłbym pojmywać – przerastała ona moje możliwości.

Zrezygnowałem z niej, starałem się o niej nie myśleć. Ale ilekroć po pracy w redakcji wracałem do domu i stawałem w progu swego pokoju – natychmiast przypominałem sobie chwilę, gdy podniosłem z podłogi małą zadrukowaną kartkę. I choć nie jestem człowiekiem przesądnym, to przecież nie potrafiłem wyzwolić się od myśli: A może to los podrzucił mi tę sprawę, abym się nią zajął? A może to jest właśnie ta jedna jedyna w życiu wielka szansa, obok której nie wolno przejść obojętnie?

Dałem do gazety ogłoszenie:

*Poszukuje się wiadomości, wskazówek i książek związanych z historią istniejącej w drugiej połowie XVII wieku warowni Albazin.*

*Zgłoszenia prosimy kierować do działu reportażu naszej gazety.*

Minął jeden, drugi, trzeci dzień. Przeszedł tydzień. Nikt się nie zgłosił. Ponowiłem ogłoszenie. I znowu bezskutecznie. Koledzy

poczęli sobie ze mnie podrwiwać. Na tablicy komunikatów, wiszącej na korytarzu redakcji, przeczytałem wiadomość:

*Rozsądek pilnie poszukiwany. Zgłoszenia prosimy kierować do działu reportażu, dla redaktora Albazin.*

Uznałem, że nadeszła najwyższa pora, abym przestał zaprzętać sobie głowę zagadką Ałbazina. Lecz właśnie wówczas listonosz doręczył mi dużą szarą kopertę nadaną w Krakowie. Zawierała fotokopie jakby jakiegoś medalu z malutkim uszkiem i krótki list od znanego polskiego numizmatyka\*:

*Szanowny Panie Redaktorze!*

*Nie znam historii warowni Albazin. Jestem natomiast w posiadaniu dość rzadkiej chyba książeczki: Zapiski Priamurskiego Otdieła Obszczestwa Wostokowiedienija, wydanej w Błagowieszczeńsku w 1915 roku. W książeczce tej widnieje odbitka pieczęci warowni Albazin i bardzo krótka wzmianka, że oryginał pieczęci znajduje się w muzeum Ermitaż. „W Piotrogrodzie na dorocznym zebraniu członków Rosyjskiego Towarzystwa Genealogicznego – wspomina się w Zapiskach – S.P. Trojnicki wygłosił referat: Pieczęć warowni albazińskiej. Pieczęć ta jest rzadkim i ciekawym zabytkiem heraldycznym\*\*”, ponieważ podważa ona rozpowszechnioną opinię, jakoby znaki heraldyczne nieznane były w XVII stuleciu. Ulubionymi znakami heraldycznymi na pieczęciach osiedli syberyjskich – a do takich należą również znajdująca się w Ermitażu pieczęć*

\* Numizmatyk – znawca lub kolekcjoner starych monet.

\*\* Heraldyka – nauka o herbach.

*warowni albańskiej – były figury zwierząt i ptaków, zamieszkujących olbrzymie leśne polacie Syberii”.*

*Dalej w Zapiskach następuje dokładny opis pieczęci.*

*Przesyłam Panu fotokopię interesującego Pana fragmentu tekstu, a także fotografię zamieszczoną w Zapiskach odbitki pieczęci. Być może okażą się one pomocne dla poznania historii warowni Albazin.*

*Z poważaniem. dr K.W.*

Długo wpatrywałem się w fotografię pieczęci. A więc Ałbazin jest jednak czymś realnie istniejącym, a nie tworem mej wyobraźni – jak począłem mniemać.

Wiem już, gdzie leży tajemniczy Ałbazin. Na Syberii.

Kilkanaście dni później odwiedził mnie w redakcji młody, trzydziestoletni mężczyzna w mundurze leśnika.

– Ja w sprawie ogłoszenia – powiedział.

A ponieważ nie bardzo mogłem pojąć, o jakie ogłoszenie mu chodzi, nie kojarzyłem bowiem osoby młodego leśnika z historią siedemnastowiecznego Ałbazina, leśnik zapytał:

– To pan ogłosił, że szuka się wskazówek o Ałbazinie?

– Tak, ja...

Usiadł na krześle przed moim biurkiem. Wyjął z kieszeni blaszane pudełko z pięknym bosmanem na wieczku. Ułamał połowę papierosa i osadził ją w prostej wiśniowej cygarniczce. Jak zahipnotyzowany wiodłem wzrokiem za każdym ruchem jego dłoni.

– Nazywam się Antoni Szulc. Pracuję w leśnictwie Kamionki.

– Taaak...

– Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję? – zapytał nieoczekiwanie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie rozumiem...

– Pragnę panu powiedzieć w zaufaniu o poważnej sprawie. Myślę, że dojdziemy do porozumienia. Jeśli jednak stanie się inaczej, czy mogę liczyć, że to, co panu powiem, nie zostanie nikomu ujawnione?

Zbliżył do mnie twarz. Mówił półgłosem. Papieros, który położył na popielniczce, dymił okropnie. Dym uchodził w górę cienkim słupkiem i na wysokości głowy mojego rozmówcy wirował tajemniczo.

Skinąłem głową.

– Może pan liczyć na moją dyskrecję.

Rozsiadł się wygodniej, założył nogę na nogę, zaciągnął się papierosem.

– Mam dwa stare plany. Jeden to plan warowni Ałbazin, jej umocnień i fortyfikacji, drugi plan, proszę pana, przedstawia miejsce, gdzie został zakopany... skarb. Złoto.

– Oczywiście interesuje mnie wyłącznie ten pierwszy plan – rzekłem pospiesznie.

– A skarb? Złoto?! – zawołał. I aż zerwał się z krzesła. Nachylił się ku mnie i mówił gorączkowo: – Ja wiem, że Ałbazin znajduje się bardzo daleko stąd. Za granicą. Ale pan jest dziennikarzem. Znajdzie pan jakiś powód, żeby pojechać w tamte odległe strony, trafić do Ałbazina i odnaleźć złoto. Skarbem z Ałbazina podzielimy się. Zawrzemy umowę na piśmie. Pan otrzyma ode mnie plany, odnajdzie skarb i weźmie sobie połowę. A ja dostanę drugą połowę. Nie mogę panu dać tylko jednego planu, bo może obydwa są od siebie w jakiś sposób uzależnione.

Położyłem mu ręce na ramionach i posadziłem na krześle.

– Czy wie pan, gdzie leży Ałbazin? – zapytałem uprzejmie.

– Niezbyt dokładnie. To gdzieś bardzo daleko. Nad Amurem, proszę pana.

– Bagatelka!

– Pan jest dziennikarzem. Może pan wystarać się o pozwolenie na taką daleką podróż.

Żal mi było tego człowieka. Wyglądał na maniaka. Maniak w mundurze leśnika!

– Będę musiał pana rozczarować – rzekłem. – Ałbazinem interesuję się wyłącznie dlatego, że chcę wiedzieć, dlaczego w drugiej połowie XVII wieku Chińczycy po polsku pisali list do obrońców ałbazińskiej warowni. Złoto Ałbazinga zupełnie mnie nie pociąga. W najbliższej przyszłości nie zamierzam także brać udziału w jakichkolwiek poszukiwaniach ukrytych skarbów.

– Ale tam jest złoto. Czy pan rozumie? Złoto! – wołał.

Westchnąłem ciężko.

– Proszę pana, istnieje Międzynarodowy Klub Poszukiwaczy Skarbów, który ma swą siedzibę w Paryżu. Co pewien czas specjalny biuletyn wydawany przez klub przynosi wprost rewelacyjne informacje i wskazówki o skarbach rozsianych po całej kuli ziemskiej. Informacje te nie są zmyślane, lecz oparte o materiały historyczne, ba, nawet o dokładne plany, które właściwie odczytane pozwolą uzyskać milionowe fortuny. Czy dużo jest złota w Ałbazinie?

– Worek. Pełen worek.

– Tylko tyle? Ja wiem przynajmniej o czterdziestu skarbach, których wartość jest tak wielka, że po prostu nie sposób jej określić. Znam miejsca, gdzie leży nie jeden worek, ale całe tony złota i klejnotów. A jednak, jak pan sam widzi, nie należę do milionerów.

Leśnik milczał, a ja wyszedłem zza biurka i przechadzając się po swym pokoju, opowiadałem ironicznie:

– Czy pan wie, że w głębi Zatoki Matanzas na Kubie spoczywa jedenaście galeonów admirała Rodryga Farfana? Zatonęły one wraz z ogromnym ładunkiem złota. Czy pan słyszał, że dwadzie-

ścia pięć galeonów gubernatora Bobadilla rozbiło się w 1502 roku o skały przylądka Engaño koło San Domingo? Razem z galeonami zatonął ładunek składający się z bezcennych kruszców, klejnotów oraz szczerego złota wagi trzech i pół tysiąca funtów! Na wyspie Aruba w Wenezueli, w podziemnej grocie Gerrita Colorado suspendowany\* ksiądz Domingo Mungoz i jego przyjaciółka Wanda ukryli kosztowności pochodzące z korsarstwa. Czy słyszał pan o wspaniałym skarbie zakonu jezuitów ukrytym w Boliwii w XVIII wieku? W 1903 roku Anglik Proddgers znalazł dokument sporządzony przez jezuitów, wskazujący drogę do skarbcza. Niestety, skarbcza jeszcze nie odnaleziono... Wiem o wyspie w archipelagu Galapagos, na której korsarz francuski Dasamret z Dieppe zakopał w 1673 roku swój ogromny łup. Znane są miejsca ukrycia bogactw zrabowanych przez takich korsarzy, jak: Kidd, Wafer, Davies, Dampier, nie jesteśmy jednak w stanie trafić do kryjówek pełnych złota. W grocie góry Ora, w dorzeczu rzeki Adygi we Włoszech, oddział hitlerowskich żołnierzy schował w 1945 roku manierki wypełnione złotem. Złota tego jest tam około pięciuset kilogramów, wszyscy żołnierze tego oddziału zginęli i dotąd nie ujawniono schowka ze skarbem... W 1938 roku w okolicy Sankt Moritz w Szwajcarii rozbił się niemiecki Junkers-81 wiozący ładunek złota ośmiomiliardowej wartości. Nic odnaleziono ani ładunku, ani szczątków samolotu. W zatoce jednej z wysp Markizów ukryty jest łup wojenny hitlerowskiego kapitana łodzi podwodnej U-435, Helmuta. Skarb ten składa się z dużej ilości klejnotów, złota oraz trzech obrazów pędzla van Dycka. Na wyspie Grigan w archipelagu Marianów angielski korsarz Robertson ukrył w 1872 roku dwa miliony złotych piastrow, zrabowanych z dwumasztowca „Peruvian” stojącego na redzie portu Callac. Robertson, ujęty przez kapitana Pacheco, popełnił samobójstwo. Skarbu, jak dotąd, nie odkryto...

\* Suspendowany – zawieszony w pełnieniu obowiązków.

Złota waza z ośmioma wielkimi brylantami i siedmioma szmaragdami, dwa kilogramy platyny, pięćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów i dwa miliony funtów tureckich zakopał w 1917 roku w Armenii, niedaleko granicy perskiej, dowódca białych kozaków Czerniawski... Czy mam dalej wyliczać?

Młody leśnik uśmiechnął się smutnie. Postanowiłem go ostatecznie pognać.

– W domu szuflady mojego biurka pełne są fotokopii planów prowadzących do miliardowych fortun. Niestety, plany te zrobione były na chybcika i niedokładnie. W tym leży zasadnicza trudność. Ja wiem o skarbach miliardowych, a pan proponuje mi Ałbazin i woreczek ze złotem. A poza tym zapomniał pan o jednym. Ałbazin znajduje się na Syberii albo, jak pan mówi, na Dalekim Wschodzie. To ziemie Związku Radzieckiego. Istnieje prawo, które głosi, że skarb znaleziony na jakimś terenie jest własnością państwa, które włada tym terytorium. Zaś szmugiel złota przez granicę to już nie moja specjalność...

Leśnik milczał. Ja również. Wypaliliśmy po papierosie.

Potem on wstał i pożegnał się ze mną.

– Przepraszam, że okazałem się człowiekiem pozbawionym fantazji i nieskłonny do przygód – powiedziałem.

– A może jednak pan się zastanowi? – nie tracił nadziei.

– Może...

– Niech pan na wszelki wypadek zapisze sobie mój adres: Antoni Szulc, leśnictwo Kamionki.

Zapisałem w notesie adres leśnika. Uczyniłem to przez uprzejmość.

Nic zamierzałem bowiem poszukiwać skarbów Ałbazina. Zależało mi jedynie na planie starych fortyfikacji warowni. Ale nie widziałem sposobu, w jaki mógłbym je od leśnika wy dostać, skoro w grę wchodziło złoto.

Po powrocie do domu rozłożyłem na stole atlas Związku Radzieckiego. Duża okrągła lupa poczęła sunąć po mapie, wydobywając niebieskie żyłki rzek, czerwone nitki kolei i dróg, żółte płaskowyzę, buraczkowe łańcuchy gór.

Amur – graniczna rzeka między Mandżurią, należąca do Chin, i Związkiem Radzieckim. Wypływający z Mongolii Arguń łączy się z Szyłką i jako Czarna Rzeka – Amur – płynie do Morza Ochockiego, mijając Błagowieszceńsk, Chabarowsk, Komsomolsk, Niokolajewsk.

...Po mandżursku, mongolsku i po polsku pisały władze chińskie do obrońców warowni ałbazińskiej.

Sunąłem lupą wzdłuż grubej nitki Amuru. Odczytywałem nazwy nielicznych miast i osad. Niektóre z nich brzmiały bardzo dźwięcznie, lecz nie znalazłem Ałbazina.

A może Ałbazin jednak nie znajduje się nad Amurem? W takim razie czemu ałbazińska pieczęć widnieje w *Zapiskach Priamurskiego Otdiela Obszczestwa Wostokowiedienija*?

Kto wie, jaki był los warowni? Może na skutek walk została ona na zawsze zmięciona z powierzchni ziemi i nazwa jej nie figuruje na współczesnych mapach? A może jest teraz tylko małą wioską zapomnianą przez kartografów?

Przypisy na końcu atlasu lakonicznie informowały, że rzeka Amur liczy sobie 4354 kilometry. Jest dłuższa od Leny, Obu, Jeniseju, Wołgi i Irtyszu. Proszę bardzo, szukajcie do woli na przestrzeni czterech tysięcy kilometrów miejscowości o nazwie Ałbazin!

W Klubie Dziennikarzy sprzedawano wino o pięknej nazwie Samos. Piliśmy je z moim przyjacielem, poetą Robertem. Przyjaciel był gruby, jowialny i przypominał raczej poczciwego sklepiarza.

Robert próbował mnie pocieszać:

– Wszystko to, co piszesz i co zazwyczaj przeżywasz, podobne jest, nie obraż się, do tekturowej gry, którą posiadałem w dzieciństwie. Gra ta nazywała się *Pozwolenie na przywóz lwa*. Uczestnicy gry postanawiali sprowadzić lwa. Żywego, prawdziwego lwa. Ale przywóz lwa nie był łatwy. Żądano specjalnych kwitów, zaświadczeń, opłat. Piętrzyły się coraz to nowe przeszkody i trudności. Jeśli rzuciło się kostkę szczęśliwie, pionek – czyli grający – wchodził do gabinetu wysoko postawionych osób i uzyskiwał potrzebne zezwolenie. Jeśli zaś rzuciło się kostkę nieszczęśliwie, okazywało się, że znów brakuje jakichś papierków albo że na morzu rozszalała się burza i statek ze lwem o mało nie zatonął. Istniał w tej grze niebezpieczny punkt: gdy pionek nań trafił, lew umierał na zaraźliwą chorobę i wszystko należało zaczynać od początku. Ale istniało także i inne miejsce. Grający łączył się telefonicznie z samym premierem, a ten wspaniałomyślnie zezwalał na przywóz lwa. I od tam nie było żadnych przeszkód. Gra kończyła się zwycięsko.

– Chcesz powiedzieć, że i w sprawie Ałbazina jest jedno takie szczęśliwe miejsce? Wystarczy jeden telefon i będę wszystko wiedział, a może nawet odwiedzę tajemniczy Ałbazin?

Robert skinął głową.

– Uważam, że musisz wytrwale rzucać kostką i nie martwić się. Z pewnością trafisz na szczęśliwą chwilę. A wtedy sprowadzisz sobie pięknego, żywego lwa.

## ROZDZIAŁ II

*Mistrz klasy międzynarodowej • Kamila chce do Ałbazina • Józef i Putyfarowa • Panienska z biblioteki • Ałbazin, Ursus i egzotyczna kobieta • Duńczyk Anonim, pułkownik Polak i okrutny wojewoda • List z Kamionek • Jadę po żywego lwa*

Zajmowaliśmy w trójkę wygodne, trzypokojowe mieszkanie z hallem, kuchnią i łazienką. Jeden pokój należał do mnie, drugi – do szachowego mistrza klasy międzynarodowej, pana Ludwika P., trzeci zaś zajmowała panna Kamila, śpiewaczka z operetki. Mistrz szachowy miał już sześćdziesiąt lat; w dzień spał, a w nocy grywał ze sobą w szachy, sam ze sobą dyskutował i pił wino. Kamila była młodą, dwudziestodwuletnią dziewczyną, dość ładną i bardzo zgrabną. Nie znałem się na śpiewie i trudno mi było ustalić skalę jej talentu.

Tych dwoje ludzi znało wiele moich tajemnic. Wobec nich zламаłem przyrzeczenie o dyskrecji i podczas kolacji, w kuchni, opowiedziałem o odwiedzinach leśnika i o złocie ukrytym w Ałbazinie.

Nazajutrz wczesnym wieczorem Kamila zaczęła mnie w hallu.

– Chciałabym, żeby mnie pan zabrał ze sobą. Na dworze taka piękna wiosna, w mieście dym i kurz. Mam cerę bladą jak obrany kartofel.

– Dokąd panią zabrać? Do Ałbazina?

– O nie. O tym nawet nie śmiem myśleć. Do tego leśnika...